

ALEKSANDER ŻYGA

Literat – filozof z Wietrzna

Po trzecim rozbiórce Polski na arenę życia kulturalnego Galicji wysunęło się Jasielskie. Z terenów Jasielskiego wyszło wówczas wiele ludzi, którzy nadawali ton nawet ruchowi literackiemu we Lwowie. W Tarnowcu mieszkał i pisał Ewaryst Kuropatnicki, autor „Geografii albo Dokładnego opisanie Królestw Galicji i Lodomerii” (Przemyśl 1786) oraz słynnych „Collectaneów”, które m. in. stanowiły nieocenione źródło dla powieści historycznych Zygmunta Kaczkowskiego. W niedalekiej Dukli, dokąd chwilowo zawędrowały księgozbiór i „Collectanea” właściciela Tarnowca, rezydował Antoni Stadnicki. W promieniach oddziaływania kulturalnego Stadnickiego spędził młodość dwaj bracia Chłędowscy: Adam i Walenty, ówczesni koryfeusze życia literackiego pierwszej ćwierci XIX wieku w Galicji.

Walenty Chłędowski urodził się w roku 1797 w Jasielskich koło Dukli. Ojciec jego, Seweryn Chłędowski, właściciel Mytarki koło Zmięgrodu, był jak na owe czasy człowiekiem postępowym wśród żyjącej z dala od centrów kulturalnych

szlachty podkarpackiej. Ceniąc postęp i wiedzę, pragnął swoim córkom i synom dać jak najlepsze wychowanie i wykształcenie. Chodząc dzierżawami, za zaoszczędzone pieniądze kupił wieś Wietrzno, niedaleko Dukli, która dostała się później w dziedzictwie Walentemu. Zamówienia do literatury nabierali obaj Chłędowscy dzięki protekcji i bibliotece Stadnickiego z Dukli. Jemu to zawdzięczał starszy brat Walentego — Adam, swoją pracę: „Spis dzieł polskich, opuszczonych przez Bentkowskiego”, Walenty zaś — pierwsze próby literackie odczytywane protektorowi z Dukli.

Dzieciństwo i młodość Walentego upłynęły między Duklą a Wietrzniem. Początkowe nauki pobierał w Przemyślu, dalsze na Uniwersytecie Lwowskim. Atmosferę młodości spędzonej w Wietrznie i Dukli przedstawił później w drukowanym w roku 1825 w „Rozmaitościach” lwowskich, poemacie opisowo-naracyjnym: „Wspomnienia młodości”. Widać z niego, że ton jego wykształcenia nadawała literatura i filozofia niemiecka: Schiller i Goethe, Wieland i Lessing. W tej sy-

tuacji wielkim przeżyciem dla Chłędowskiego było zapoznanie się z najnowszymi płodami literatury polskiej: dziełami Karpińskiego, Niemcewicza i Krasickiego.

„Jakaż natenczas radość przejęła umysły
Gdyśmy znał brzegów Renu i Dunaju,
Przeniósłszy zapal do własnego kraju

Znaleźli na brzegach Wisły
Równie lub więcej zajmujące światy

I dzieła znakomite i język bogaty
Gdyśmy na polach bujnych, rozległych i własnych
Zamiast zaciekiłych nudnych formalistów

Zamiast czysto-rozumnych Kantów i kancistów,
Znajdowali Suiadeckich głębokich i jasnych

Gdyśmy zamiast owych Gessnerów Słodkich Symonidesów i Karpińskich mieli

A tysiąc Hagendornów, Pfefflów i Rabnerów,
Uzów i Kleistów, Gleimów i Bürgerów

W jednym Krasickim ujrzeli”.
Kiedy Józef Dzierżkowski za radą Stadnickiego, który dobrze mu-
(Ciąg dalszy na str. 2)



TADEUSZ TURKOWSKI

„Antiope i Dirke”

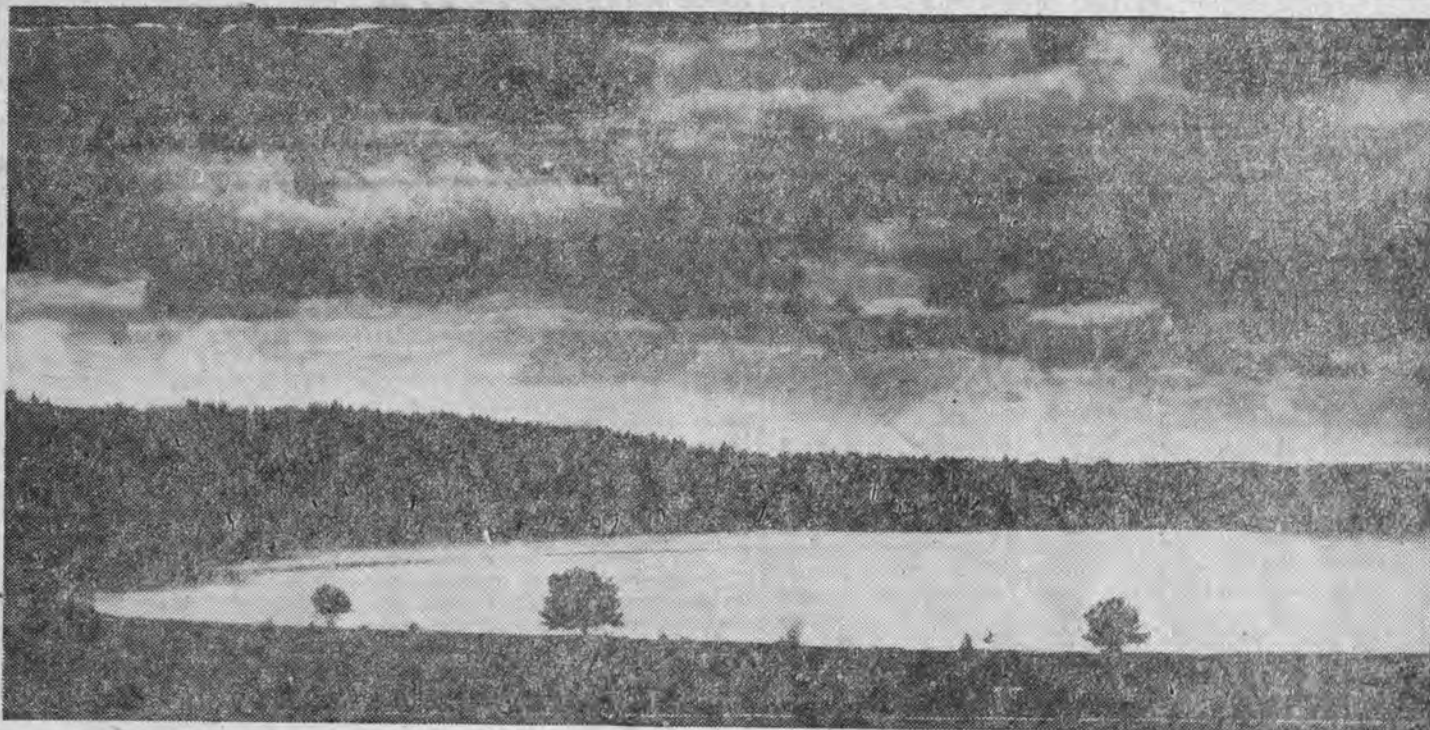
Andrzej Wajda: Ukończyłem zdjęcia do „Popiołów”

Andrzej Wajda zakończył zdjęcia do „Popiołów”. Ostatni „klaps” rozległ się 5 marca w zabytkowym Pałacu Rzeczypospolitej przy placu Krasiańskich w Warszawie.

Nakrecono tu sceny rozgrywane się w bibliotece księcia Gintuita. Jako tło służyło urządzenie dawnej biblioteki walanowskiej, która znajduje się obecnie w gmachu przy placu Krasiańskich.

Na wysokiej drabinie stoi — grający Rafała — Daniel Olbrychski, trzymając kilka starych ksiąg. Przy kamerze — Andrzej Wajda i operator Jerzy Lipman. Pracownicy biblioteki, a wśród nich prof. Alodia Gryczowa, z niepokojem patrzą na termometr — czy wysoka temperatura, którą wytwarzają reflektory nie zaszkodzi szacownym zbiorom. Trzeba otworzyć okno, a po zakończeniu zdjęć wnieść naczynia z wodą, aby przeciwdziałać nadmiernej wysuszeniu ksiąg. Zdjęcia jednak idą szybko i nie ma powodów do obaw.

(Ciąg dalszy na str. 4)



Fot. W. BRYDAK

Opowiadanie ze zbioru opowiadań, który ukaże się w tym roku nakładem Wydawnictwa „ISKRY” pod tytułem: „U P A Ł”.

Andrzej siedział na dziobie „Iskry” i patrzył, jak dźwig zawieszony nad barką swój rozdziałony pysek. Pomyślał o dziewczynie z dzikiej plaży i o psie, w którego towarzystwie opalała się. Rozdziałona paszcza dźwigu runęła w dół. Odwrócił od niej oczy. Gdyby trzy dni temu kły wilczura zamiast w powietrzu zamknęły się na jego ręce, przebywałby teraz w szpitalu. Ale ona w ostatniej chwili gwizdnęła. Już czuł na skórze oddech psy.

Na holownik weszli kapitan i Kuba. Andrzej wstał i ujął linę kotwicy. Warknął zapuszczany motor, holownik ruszył z miejsca.

„Może wyjdzie na nasyp — pomyślał — i będę ją mógł zobaczyć”.

Pomyślał też o psie, którego ona w ostatniej chwili powstrzymała, gdy wyskoczył do niego niespodziewanie z łoziny. Leżała na brzuchu, plecami do niego i nie wiedziała, że ktoś podpląwa do plaży. Ukryty w krzakach wilczur, zanim chłopiec nie znalazł się na brzegu, nawet nie warknął. Więc nie wiedząc nic o groźnym mu niebezpieczeństwie patrzył na jej rude, krótko przystryżone włosy, na wygięte w łuk plecy i opalone mocniej, aniżeli reszta ciała nogi, ciągle jeszcze zanurzonej po kolana w wodzie, nie bardzo wiedząc co dalej robić.

Dziewczyna miała głowę opartą na rękach i czytała książkę. Wąski pasek żółtego jak cytryna stanika wrzynał się jej w skórkę. Andrzej pomyślał o organkach, żałował, że nie zabrał ich ze sobą. Wiele razy dzięki umiejętności grania na organkach podrywał dziewczyny. Po prostu siedał obok „obiekta” i grał jedną z modnych melodii. Potem wszystko szło już łatwo. Ale organki zostały na holowniku... Usłyszał krótkie beknienie włączonej przez Kubę syreny. Dziewczyna poruszyła się niespokojnie, ale nie przestała czytać. „Zapytam ją — pomyślał — o tytuł książki, potem poproszę, ażeby mi ją pozyczyła. To będzie niezły pretekst do spotkania się”. Dot-

knął stopą rozpalonego piasku plaży i wówczas wilczur zaatakował.

„Iskra” przepłynęła pod mostem i weszła na łuk zakrętu. Andrzej spojrzął na dziką plażę, na której przed tygodniem po raz pierwszy pojawiła się owa dziewczyna. O tym, jak z tej plaży uciekał, starał się nie myśleć. Przeniósł wzrok na nasyp, ale nie było na nim dziewczyny.

Dopłynęli do bagra i wzięli na hol gotową do drogi barkę. Była to ich ostatnia barka w tym dniu. Zanim słońce dotknę-

BOGDAN LOEBL

DZIEWCZYNA z dzikiej plaży

ło wierzchołka wału ochronnego, splukał ropą czarne od smarów ręce i skoczył na brzeg. Sforsował wał ochronny i znalazł się przed bocznicą kolejową, na której stał transport towarowych wagonów. Spoczone plecy ładujących na nie piasek robotników świeciły czerwono w blasku zachodzącego słońca. Przelazł przez złącza wagonów i wkroczył na wodzącą do miasteczka drogę. Przed kioskiem z piwem stało kilku robotników. Kupił butelkę piwa i stanął obok nich.

To była chyba ona, szła z miasteczka. Na głowie miała chusteczkę koloru kąpielowego kostiumu, w którym opalała się na dzikiej plaży. Była bez psa. Andrzej cofnął się do tyłu, wołał nie pokazując się jej w tym stanie, ale równocześnie był ciekaw, jak dziewczyna zachowa się, kiedy zobaczy go w tych brudnych łachach. Może uda, że go nie pozna? Może zresztą rzeczywiście go nie pozna? Przecież wówczas patrzyli

na swoje twarze zaledwie przez kilkanaście sekund. Pomyślał, że byłoby lepiej, gdyby rzeczywiście nie pamiętała jego twarzy, gdyż była to twarz tchórze, który uciekł przed psem.

Ale to nie była ona i Andrzej nie bardzo wiedział, czy cięższe się z tego powodu, czy smucić. Włożył butelkę do stojącej przed kioskiem skrzynki i ruszył ku miastu. Myśli, że czystuje w świadomości dziewczyny jako tchórze, nie dawła mu spokoju. Wiedział, że każdy na jego miejscu uległby panice na widok kłów tego wilka, chyba że strach sparaliżowałby mu nogi, ale nie łudził się, że ona wzięła to pod uwagę.

Ze złością kopnął leżące na chodniku pudełko po zapalkach, przeszedł pod murem ogrodzenia i skręcił w stronę plant. Jeszcze ich nie widział, ale zaledwie wszedł między drzewa, uderzył go głośny wybuch śmiechu. Znał ten rodzaj hałaśliwej wesołości, wiedział, czym jest udziałem. Dostrzegł ich. Siedzieli na ławce i grali w karty. Andrzej przyspieszył kroku, ale nie udało mu się minąć ich niepostrzeżenie. Gdy tylko znalazł się koło nich, zerwali się jak na komendę i zagroźli mu drogę.

— Andrzej — powiedział Jan — poczekaj, chcemy cię o coś zapytać. Poważnie.

Zatrzymał się. Twarze otaczających go chłopców były namiętne, zaferowane.

— Czego chcesz?

— Co to za jedna, Andrzej?

— O co ci chodzi?

— Nie udawaj, wiesz dobrze, że pytam o tę nową, która chodzi na dziką plażę.

„Więc już wiedzą — pomyślał — już wiedzą o niej”. Poczul, jak krew uderza mu do głowy, rozepchnął gwałtownie otaczających go rówieśników.

— Ale dziewczyna — mamrotał z nieukrywanym zachwytem Kuba — co za nogi, matko...

Leżała, jak zwykle o tej porze na piasku dzikiej plaży w tym swoim żółtym, już z daleka kłującym w oczy kostiumie,

(Ciąg dalszy na str. 3)

Mówią wieki i dzień dzisiejszy

— Ale nas ominie okazja, to przecież „pekaesiarz” z naszego oddziału — zagadnął konduktor do kierowcy, pstrykając się przy tym znacząco w szyję. Wyprzedzaliśmy właśnie weselny kulię. Z autobusu wysiadłem na Rynku w Bieczu. Gdy dojechały tu sianie z weselnikami, koleżdy pana młodego; konduktor i kierowca byli już chyba w Zagórzanach. Starosta weselny wyjął z kieszeni buteleczkę gatunkowej i obdzielił nią družbów i gości w saniach.

Biurowo przewodniczącego Miejskiej Rady Narodowej zmieniło na kilkanaście minut swój wygląd i przeznaczenie. Na fotelu ojca miasta zasiadł kierownik Urzędu Stanu Cywilnego. Rozpoczęła się ceremonia ślubna. Ale kto wie, może jeszcze w tym roku Biecz otrzyma chyba najwspanialszy w kraju pałac ślubów. Będzie się on mieścił w rodzinnym domu biskupa Kromera. Mimo zimy trwa remont zażytkowego budynku.

Murowano właśnie sklepienie. Kierownik budowy — Adam Janik doglądał każdej niemal cegły. Obowiązuje tu szczególna dokładność i staranność. Trzeba również z uwagą i szacunkiem burzyć stare mury, sklepienia. Nigdy bowiem nie wiadomo co mogą ciekawego kryć. Na ścianach, sufitach ratuszowych komnat ślady po młotkach i dłutach — kilkucentymetrowej szerokości pasy wykute w murze. Okalający ratuszową wieżę las rusztowań to niezawodny znak, że i tu wkrótce wrócą znów robotnicy.

Właściwie to przypadek zdecydował o przejściu Adama Janika z budownictwa mieszkaniowego do konserwacji zabytków. Ze zmiany tej jest dziś bardzo zadowolony. To prawda, że duża przyjemność i radość sprawiło mu wznoszenie nowych bloków, lecz czy podobnych, a może i większych przeżyć nie może dostarczyć ratowanie pomników naszej tysiącletniej kultury?

Wraz z grupą kilku wysoko kwalifikowanych murarzy wędruje już od 4 lat od zabytku do zabytku, coraz bardziej rozmiłowując się w nowej pracy. Wprawdzie w momencie przystąpienia do rekonstrukcji ma w kieszeni szczegółową dokumentację, lecz często wynikają niespodziewane przeszkody. Trzeba wówczas działać na wyczucie, ryzykować. Pomagają mu w tym robotnicy.

Pracą ratowników zabytków interesują się nie tylko ich zwierzchnicy z Krakowa i ojcowie Bieczy. Na każdym placu budowy towarzyszą im przyjazne spojrzenia turystów, miłośników Bieczy, a nawet i jego mieszkańców. Nawet, bo nie wszystkich to cieszy.

— Zamiast grzebać się w ziemi i ładować w rudery ciężkie miliony, lepiej byłoby wybudować kilka nowych bloków mieszkalnych, rozbudować sieć wodociągową — mówią (nieliczni wprawdzie) bieccy mieszczanie „z awansu”, którzy przed 20 laty zamieszkiwali bardziej lub mniej odległe wsie. Rekonstrukcja zabytków jest dla nich sprawą nie tyle marginesową,

co drugoplanową. Z nieklamana szczerością mówią, że przydałoby się za miastem pastwisko, każdy mógłby sobie wówczas krówkę chować i o mleko się nie martwić...

Na szczęście niewiele te głosy znaczą, ale psują niepotrzebnie krew, denerwują. To prawda, że nie najwięcej w Bieczu wybudowano: dwa bloki, razem niespełna 30 mieszkań, kilka km linii wodociągowej, no i poważnie rozbudowano sieć gazową. Zelektryfikowano także kilka dzielnic miasta. Ale to wszystko kropla w morzu w odniesieniu do potrzeb.

Kiedy idzie się wieczorem przez miasto, człowiek zastanawia się, czy może mieć zaufanie do statystyki. Na ulicach pusto. Jedynie światła w oknach upewniają co do czterech tysięcy mieszkańców. To brzmi trochę nieprawdopodobnie, ale aż ponad 1.000 osób pracuje na miejscu, głównie w „słodkiej fabryce”, której wyroby chwala się

12 grudnia 1931 roku w Warszawie.

— Na całość obchodów — wspomina — złożyło się 12 punktów programu. M. in. tańce zbójnicze w wykonaniu baletu Opery Warszawskiej, pieśni w wykonaniu chóru „Harfa” pod dyktando kompozytora Wacława Lachmana. Juliusz Osterwa wygłosił napisany specjalnie na jubileusz przez Leopolda Staffa wiersz pt. „Nad Gąsienicowym Stawem”.

Obchód ten, jego następstwa materialne wyzwołyły poetę 7 nędy, zapewniono mu trwały pobyt w Hotelu Europejskim oraz utrzymanie w zakładach gastronomicznych Warszawy.

W. Trzyszczyło nadal utrzymuje kontakt z Oddziałem Związku Podhalan w Ludźmierzu, organizatorem obchodów setnej rocznicy urodzin poety.

* * *

Choć wybudowano w Bieczu kilka kilometrów nowego wodociągu i nowe studnie, głuchoniemy nosiwoda, popularnie zwany w Bieczu „Bebe”, dziś miałby także pełne ręce roboty. Zmarł biedaczko przed 8 laty. Pamiętają go biecczanie ubranego w przydługą marynarkę, dużą czapę i ogromne buciska. Nosił wodę do piekarni i kilkunastu domów prywatnych.

Olbrzymi obraz — praca Aurelii Składzień — przedstawia bieckiego nosiwodę z wladrami...

— Bardzo chciałam namalować naszego nosiwodę — mówi pani Aurelia — obawiałam się, że nie zechce pozować. Zgodził się jednak natychmiast. Usiadł na stołku, lecz kiedy przystąpiłam do szkicowania, poderwał się, dał znak ręką, abym zaczęła i zaczął coś szukać w kieszeniach. Wyjął fajkę, włożył do ust i usiadł ponownie do pozowania.

Pani Aurelia jest nauczycielką. Od kilku lat już na emeryturze. Spędza ją w zacisznym i spokojnym Bieczu, wśród kwiatów, które sama maluje. Nie tylko kwiaty upiększają mieszkanie. Maluje także pejzaże, portrety, rysuje. Duże, jasne, wysokie pokoje stanowią zarazem „prywatny” salon wystawowy, po którym malarka chętnie oprowadza znajomych. A ponieważ pracuje intensywnie — „sobót malarskich” jest kilkanaście w roku.

Obrazów starczyłoby na urządzenie kilku wystaw. Nie ma ich, niestety, w Bieczu? Zapchany, dom z bieżącą wymagą remontu, w muzeum też ciasno. Ale można by przecież w obszernej sali klubu „Ruch”. Latem, no chyba jeszcze nie w tym roku, gdy na niedawno odkrytych fundamentach bieckiego barbakanu robotnicy zrekonstruują (takie są propozycje) część murów (jedną czwartą — jedną trzecią ich dawnej wysokości) obrazu pani Aurelii i innych malarzy tu będą mogły być wystawiane, co niewątpliwie doda uroku temu malowniczoemu i dostojnemu miastu.

RYSZARD BILSKI

ble nawet konsumenci za oceanem. Do Gorlic i Jasła, gdzie łatwo o pracę, dojechać można pociągiem i autobusem. Dobrze i spokojnie się tu mieszka.

* * *

Któż nie zna w Bieczu charakterystycznej sylwetki Władysława Trzyszczyły! Choć 80 lat na karku, ciągle pełen życia, energii, pomysłów. Władze, znajomych, kolegów zasypuje inicjatywami, zadziwia trzeźwością umysłu i fantastyczną pamięcią. Kiedy latem Biecz zalewa morze turystów, trudno zdobyć go choć na chwilę. Lekko przgarbiony, w turystycznych butach, pumpach, z laseczką, bez której chyba mógłby się jeszcze obejść, oprowadza wycieczki. Przewodnik z niego wymyślny. Na poczekaniu ma i dowcip, i rzeczowy argument. Kiedyś zagalopował się, mówiąc że podobnie papieża Grzegorza XIII umieszczono w kościele wcale nie dlatego, że był papieżem... Zdziwionym wycieczkowiczom urządził arcykrótki, ale rzeczowy, przekonujący wykład o kalendarzu i czasie oraz poniesionych przez Grzegorza XIII na tym polu zasługach.

Trzyszczyło sam jest zapalonym turystą. Na podstawie materiałów zdobytych w czasie licznych wędrowek ukończył niedawno opracowanie monografii o 560 miejscowościach. Najwięcej uwagi poświęcił, oczywiście, Bieczowi.

Do południa geografia, po obiedzie historia, a wieczorem, często w nocy, zagłębia się Trzyszczyło w twórczość i bibliografię Kazimierza Przerwy-Tetmajera. Nic dziwnego, skoro jest bodajże jedynym żyjącym członkiem komitetu uroczystego obchodu ku czci 45-lecia twórczości poety, zorganizowanego



Foto: JANUSZ WITOWICZ

Literat — filozof z Wietrzna

(Ciąg dalszy ze str. 1)

siał orientować się w dorobku literackim obu Chłędowskich, nie mogąc znaleźć redaktora organizowanego we Lwowie pisma, ścignął Adama do stolicy Galicji, Walentego podążył za nim. Redagowanie przy współpracy Walentego przez Adama pisma: „Pamiętnik Lwowski”, a po jego upadku „Pszczola Polska” (1816—1819), stały się wielkim wydarzeniem na tle posuchy galicyjskiej. Wiele miejsca zajęły w nich tradycje literackie rodzinnego regionu Chłędowskich (M. Szarzyński, Aleksander Fredro). Po krótkim pobycie w Warszawie (1820—1822) oraz nagłej śmierci żony wrócił W. Chłędowski do swej majątności w Wietrznie, w wolnych chwilach od gospodarki, oddając się pracy krytyczno-estetycznej i literackiej. Utwory swe zamieszczał w „Rozmaitościach”. Oprócz tłumaczeń romansów niemieckich i uwielbianego Schillera szczególnie pasjonowały go zagadnienia estetyczne, których wyrazem były rozprawy krytyczno-estetyczne, drukowane w redagowanym przezeń w roku 1830 „Haliczanie”, piśmie, które było słupem milowym w rozwoju czasopiśmiennictwa galicyjskiego oraz późniejszym w warunkach galicyjskich pogłosem walki romantyków z klasykami. Oprócz zasadniczej rozprawy „Redaktora” Arystoteles sędzia „romantyczności”, w której rozprawił się zdecydowanie z klasykami, znalazł tu wyraz zwrot do romantycznej ludowości, widoczny choćby na przykładzie umieszczonego „Kamienia nad Liskiem” Aleksandra Fredry.

Pozostała część życia spędził W. Chłędowski w Wietrznie. Majątność swą opuszczał rzadko i tylko wtedy, gdy wymagały tego najważniejsze potrzeby: w roku 1835, kiedy w Wiedniu poddał się ciężkiej operacji czaszki, w roku 1842, zwiedzając Włochy i Tyrol oraz 1845, odwiedzając w Paryżu Mickiewicza. Interesującego się estetyką europejską filozofia oraz pilnego czytelnika czasopism polskich, który wszelkimi siłami walczył o postęp kulturalny w Galicji, nie mogło zadowolić nudne życie wietrzniejskiego ziemianina. Kontakt ze światem utrzymywał m. n. przez „listowanie” ze swymi przyjaciółmi: Augustem Bielowskim czy Kalasantym Pajgertem. Na poezję jego, głównie okolicznościową i sztabuchową, składały się utwory potracające częstokroć o nutę staropolskiej poezji ziemiańskiej. Idylli ziemiańskiego żywota, jego „wsi spokojnej, wsi wesołej” przeciwstawił jednak w „Trenach wieśniaka” — tak bowiem brzmiał pierwotny tytuł utworu: „Do Pawła Rodakowskiego we Lwowie” — odwrotną i ponurą jego stronę, będącą niewątpliwie wynikiem doświadczeń swego życia w Wietrznie. Minęły już czasy szlacheckiej sielanki. Dziś;

„Przewracaj ziemię, po stokroć ją oraj
Ni w dzień, ni w nocy nie ciesz się
Rób znowu dzisiaj, coś już robił
Rozządzaj twoich niewolników
snojem.

Chciałbyś w spokoju schronić się
I rzucić z siebie powołania pęta?...
Darmo — masz znowu gości w
Niesie strażnocy i stemplem

Jako człowieka o szerokim jak na Galicję horyzoncie umysłowym nie zadawała go lektura urzędowej „Gazety Lwowskiej”, rozmowy z sąsiadami o karmieniu wołów czy pełnych stodołach, pedzeniu wódki z kartofli i winie; pragnął za wszelką cenę wyrwać się z górskiego odludzia, coż kiedy zajęcia gospodarskie i brak pieniędzy nie bardzo na to pozwalały. „Trudno to dla mnie, trudno wychylić się z domu na parę tygodni — pisał z Wietrzna w roku 1840 do K. Pajgerta — bo ja oszczędzając gdzie mogę, nawet ekonomia nie trzymam i tylko chłopkami całe gospodarstwo prowadzę i wszystkie interesy załatwiam; niegorzej to idzie, ale też za to jestem związany i przywiązany do domu, że mi to już i ciężarem się staje”. Prześlanknięty schillerowskim idealizmem, w wyższych rzeczach upatrywał postępowanie człowieka:

„A um? ten ducha nieśmiertelny
Ludzkiej istoty podstawa jedyna?
A myśl? — żywota osnowa?
Heglowskiej mrzonki treść i
podwalina?...”

Utwory swoje ogłaszał także w galicyjskich wydawnictwach dobroczynnych: „Albumie na korzyść pogorzalców Rzeszowa” i w „Wdowim groszu”.

Idealista i liberał, wierzył w ewolucyjny postęp ludzkości, że drogą kredytów można ratować upadające gospodarstwa szlacheckie, że przez rozwój oświaty można udoskonalić społeczeństwo. W tym celu założył w Wietrznie bibliotekę i czytelnię dla ludu. Zawiódł się jednak w przewidywaniach. W tragicznym roku rebelli galicyjskiej ledwo zdołał uniknąć śmierci. Zdał się uciec do Dukli, ale całe gospodarstwo uległo zniszczeniu. Odąd pobyt w tej posiadłości stał mu się wstrętny.

Umarł w kilka miesięcy po owych wydarzeniach w Wietrznie, 24 grudnia 1846 roku, zapominany zupełnie przez rodaków. Dopiero w roku 1865 w „Tygodniku Ilustrowanym” przypomniał zasłużoną sylwetkę W. Chłędowskiego jego bratanek, znany później pamiętnikarz, Kazimierz Chłędowski, opatrując ją ledwą jego zachowaną podobizną.

ALEKSANDER ŻYGA



Foto: M. KOPEĆ

